

**Michalina Sękowska-Pięchowa**

## Oczyrna dziecka

Błękitne niebo pozbawione było najmniejszej chmurki, słońce prażyło bezlitośnie, jedynie drzewka oliwne dawały nieco cienia. Był rok 1993. Wędrowaliśmy po Ziemi Świętej, szliśmy śladami Chrystusa, zatrzymywaliśmy się w różnych miejscach związanych ze Starym i Nowym Testamentem. Nie sposób było ominąć lub przejść obojętnie obok Muzeum Holokaustu w Jerozolimie.

Jerozolima – miasto trzech wyznań – judaizmu, chrystianizmu i islamu. Na każdym kroku dochodzą do głosu echa dziejów tych religii. Udajemy się więc do Lasu Jerozolimskiego, na zielone wzgórze Har HaZikaron (Wzgórze Pamięci), gdzie zlokalizowano instytut Yad Vashem, co znaczy: Miejsce i Imię – termin zaczerpnięty z Księgi Izajasza. Instytut założono w 1953 roku dla uczczenia i pamięci Izraelitów pomordowanych przez niemieckich hitlerowców w bestialski sposób. Ten Instytut składa się z: Nowego Muzeum Historycznego wraz z Salą Imion, Izby Pamięci, Ogrodu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata oraz wielu pomników, zwłaszcza poświęconych dzieciom, jak Korczak i Dzieci Getta, partyzantom oraz żołnierzom.

Po zatrzymaniu się w Ogrodzie Pamięci, gdzie każde drzewo posadzone zostało ręką człowieka, który widząc w żydzie<sup>1</sup> brata, uratował go od śmierci, a informuje o tym tabliczka, która zawiera jego imię, nazwisko i narodowość, zagłębiaamy się w myślach. Z ilości polskich nazwisk wynika, że bardzo wielu Polaków narażało swe życie w okresie

---

<sup>1</sup> żyd – wyznawca religii judaistycznej, Żyd – obywatel państwa izraelskiego.

okupacji dla tych, których znali lub nie znali. Ogród Pamięci stanowi jedyny w świecie tego rodzaju hołd złożony tym, którzy się narażali, a którzy sprawili, i sprawiają, że wraca w nas wiara w dobro i ludzi.

Zamyśleni wchodzimy do głównego budynku, po lewej stronie olbrzymia mapa ułożona z nazw obozów koncentracyjnych, po prawej wejście do Sali Imion. Tu czeka nas wstrząsające przeżycie. Wchodzimy w mrok, w głęboką noc, odnoszę wrażenie, że jestem duszą wędrującą w Zaświatach. Nad głową tysiące migocących gwiazd, pod stopami Kosmos usiany również ciałami niebieskimi. Głęboką ciszę przerywa głos wymieniający imię i nazwisko żydowskiego dziecka, jego wiek i miejsce pochodzenia. Półtora miliona ofiar. Niesamowite wrażenie. Dla oddania tej tragedii, którą dane było przeżyć ludziom wrażliwym, posłużyło zaledwie kilka płomyków świec zwielokrotnionych dzięki lustrom, świec odbijających się milionem refleksów. Niezwykły, wyjątkowy, niepowtarzalny sposób wyrażenia hołdu Męczennikom i Ofiarom ludobójstwa.

Kiedy znalazłam się na rozświetlonym promieniami wiosennego słońca wzgórzu jerozolimskim, myślami przeniosłam się w odległe czasy i jeszcze bardziej odległe miejsca, w czasy mego dzieciństwa, do małego miasteczka o nazwie Kołaczyce. Był rok 1935, może 1936. Moje poznawanie świata zapewne wtedy się zaczęło, od momentu, gdy Mama poleciła mi, pięcioletniej dziewczynce, kupić małą szpulkę nici „z kotkiem”. Szłam więc co jakiś czas z mojego rodzinnego domu, do sklepiku, który znajdował się na końcu uliczki i był własnością córki Abrama, zwanej przez społeczność miejscową Abramionką. Uliczka, zwana Szewską była krótka, od wschodniej strony miała zaledwie pięć domów, a od zachodniej sześć. W ostatnim, w maleńkim pomieszczeniu znajdował się wspomniany sklepik. Mimo ciasnoty można było w nim kupić wiele rzeczy. Właścicielka w średnim wieku, w moim przekonaniu, zawsze miła, starała się uśmiechnąć do małej dziewczynki, która wykonując polecenie, była z tego dumna. Wracała więc do domu, niosąc czarne lub białe nici nanizane na małą szpulczkę. Czynność tę powtarzała dosyć często. Dzięki temu poznawałam najbliższe otoczenie. W miarę upływu czasu znałam nie tylko każdy kamyczek leżący na ulicy, każdy dom otoczony ogródkiem, w którym rosły kolorowe kwiaty, ale i ludzi, którzy odegrali w moim życiu większą lub mniejszą rolę. Tak nawiązałam pierwszy mój kontakt z kobietą, która

zapewne czuła się Polką, ale wyznawała inną religię. To wydarzenie, zarejestrowane w pamięci dziecka, jako pierwsze, wkrótce zostało przysłonięte innym, mniej przyjemnym.

Grudniowa wczesna noc otuliła ziemię. Puszyste białe płaty spadały nieprzerwanie zasypując domy, drzewa i pola. Jedyne tu i ówdzie migotliwe, mdłe światło z okien domów rozjaśniało nieco mrok. W ciemnym pokoju panowało rozbijające ciepło i cisza. Przez niedomknięte drzwi wkradało się jasne pasemko światła. Mała dziewczynka śpiąca w swym białym łóżeczku otworzyła nagle oczy, z przerażeniem wzrok jej skierował się w stronę dużego portretu z podobiznami dziadków. Obydwoje mieli surowe miny. Dziadek Paweł w tzw. polskim stroju, z sumiastym wąsem i stanowczym wyrazem twarzy, nie budził zbyt dużego zaufania, Babcia Anna w czarnej sukni i stroiku na głowie z dumą patrzyła w dal, pomijając wzrokiem tych, którzy na nią spoglądali. Obydwoje odeszli przed moim urodzeniem. Znałam ich jedynie z opowiadań mojej Mamy. Mimo to, a może właśnie dlatego, portrety budziły w moim sercu pewne obawy, a nawet strach, szczególnie, kiedy Mama kładła mnie spać i pokój pogrążał się w mroku. Tak było i tym razem. Z przerażeniem wyskoczyłam z łóżeczka, przebiegłam przez pokój, kuchnię i długi korytarz, stanęłam na progu domu, bosą, w nocnej koszulce. Wkoło panowała ostra zima i głęboki śnieg. Mój płacz usłyszał sąsiad z naprzeciwka, żyd, właściciel małego sklepiku, wziął mnie na ręce i zaniósł do swego mieszkania. Drżałam ze strachu i zimna, trochę to trwało zanim uspokoiłam się i poczułam bezpieczna. I sąsiad, i jego żona okazali mi wiele serca i troski. Okryto mnie kocem i dano gorącą herbatę. Kim byli ci ludzie? Czuli się Polakami i częścią społeczności kołaczyckiej, jakkolwiek byli pochodzenia żydowskiego. Rand i jego żona Rywcia mieli kilkunastoletniego syna Herchsia. Tworzyli zgraną rodzinę, utrzymywali się z małego sklepiku kolonialnego. Można było w nim kupić kaszę, mąkę, cukier, pieprz, kakao i inne artykuły najbardziej potrzebne do życia. Dochód zapewne mieli niezbyt wielki, w związku z tym wiedli skromne życie. Nikomu nie przeszkadzali, po prostu byli. Mieszkali w domu rodziców mojej babci, zajmując kuchnię, pokój i małe pomieszczenie na sklepik. Nigdy między moim Ojcem a tą rodziną nie doszło do żadnej scysji, jakkolwiek nasze pomieszczenia zajmowali przez kilkanaście lat, aż do tego tragicznego czasu, kiedy najeźdźcy przestali traktować ich jak ludzi.

Siostra Rywci, Manczele, zajmowała razem z mężem przedostatni dom po lewej stronie ulicy Szewskiej, idąc od ulicy Szpitalnej. Nie wiem, czym się zajmowali i z czego żyli. W mojej ocenie, ocenie pięcioletniego dziecka, mężczyzna wysoki, przystojny wyglądał na „uczzonego w piśmie”, na kogoś, kto w gminie żydowskiej sprawuje jakąś ważną funkcję. Może był rabinem, a może cadykiem, przywódcą religijnym, przestrzegającym zasady moralne, jednym słowem – wzorem.

Z tymi ludźmi spotykałam się codziennie, na ulicy, w sklepie. Wiedziałam, że są wyznania mojżeszowego, że świętem dla nich jest nie niedziela, lecz sobota, że pokarmy, które spożywają, różnią się od naszych, że mają inne obyczaje, ale to wszystko w niczym ani moim Rodzicom, ani mnie nie przeszkadzało i nie raziło nas. Członkowie wspomnianych rodzin nie byli jedynymi mieszkańcami Kołaczyc. Przy ulicy równoległej do południowej pierzei rynku, która dziś nazywa się Kuśnierska, na styku z szosą prowadzącą na Jasło, na skarpie wznoszącej się nad rzeką Bieździadką, w małym drewnianym domu mieścił się sklep Kłoca. Chodziłyśmy tam z Mamą oglądać i kupować materiały na sukienki. Rozmaitość kolorów i gatunków skłaniała do wahania, niepewności i zastanawiania się nad tym, co wybrać. Na tak zwanym Blichu, konkretnie przy szosie prowadzącej do Jasła mieszkał Mortek, w pobliżu bożnicy, domu modlitwy, do którego schodzili się mężczyźni, by modlić się do Jahwe. Niemcy wynieśli z niego i zniszczyli przedmioty kultu religijnego. Dalej, po stronie prawej, przy drodze prowadzącej na błonia wznosił się dom rodziny Krauzów, zamożnych żydów, którzy zaopatrywali szewców kołaczyckich w skórę. W tamtych czasach życie był ciężkie, dlatego rzemieślnicy jadąc na jarmark do Frysztaka, Krosna czy Pilzna nierzadko wracali na powrót z towarem, a za materiał trzeba było płacić. Zadłużali się więc szewcy u takich dostawców, jak Krauz, Ber i inni. Dług rósł, sytuacja dla produkujących buty stawała się coraz trudniejsza.

Przy rynku usytuowali się dobrze prosperujący, zamożni kupcy. Murowany dom Bera na rogu rynku i ulicy Liwocznej zwracał na siebie uwagę nie tylko swym wyglądem, ale i tym, że właściciel tego sklepu miał dwie piękne córki. U niego również można było nabyć różnego rodzaju skóry na wierzchnią część butów i spody. Wiele gatunków, różnorakie ceny wabiły szewców, którzy produkowali obuwie

do użytku codziennego. Dwa nazwiska były jeszcze w Kołaczycach znane: Walda i Walacha. Ich sklepy były dobrze zaopatrzone, stwarzały możliwość wyboru i kupienia tańszych lub droższych towarów. Do sklepu Walachowej chodziłyśmy z Mamą po perkaliki, batysty, jedwabie, z których powstawały sukienki, bluzki, a dla mnie sukieneczki z falbankami. Na jego miejscu powstał po wojnie nowy dom, gdy zaś idzie o kamienicę Waldowej, istnieje ona do tej pory. Mam do dziś w oczach scenę, kiedy jako kilkuletnia dziewczynka mierzyłam sandałki, jedną parę, drugą, dotąd aż w końcu zdecydowałam się na białe. W tym czasie Mama prowadziła rozmowę ze sprzedawczynią, która chętnie nawiązywała kontakty. Jej przyjazny stosunek do kupujących był uzasadniony nie tylko chęcią pozyskania klientów. Znała wszystkich i wszyscy ją.

Wspominając żydowską społeczność Kołaczyc nie można pominąć doktora o nazwisku Bodek. Był dobrym lekarzem, uczynnym, zawsze spieszył chorym z pomocą. Moi Rodzice z wdzięcznością o nim mówili. Mogłam mieć kilka miesięcy, kiedy po szczepieniu pod paszką zrobił mi się guz pełen ropy, stan zapalny, wysoka temperatura. Doktor w warunkach domowych wykonał zabieg z bardzo dobrym skutkiem. Po raz drugi zaopiekował się mną, kiedy przechodziłam zapalenie płuc, które w tamtych warunkach często kończyło się śmiercią.

Doktor wraz z rodziną mieszkał na piętrze pierwszej kamienicy przy zachodniej pierzei rynku. Najstarszy syn, Poldek, kolega mego brata, poszedł w ślady ojca, młodszy Maniek też kolegował z „gojami”, Wisia przyjaźniła się z Wł. Mulińską, K. Grottgerówną. Cała rodzina prawdopodobnie przeżyła wojnę, udało im się uniknąć bestialstwa, dzięki temu, że w porę wyjechali do Lwowa. Po 1945 roku młodzi Bodkowie odwiedzali Kołaczycy, widocznie czuli się częścią tego miasta.

Takie życie skromne, lecz spokojne pędzili ludzie wyznania mojżeszowego w małym miasteczku na Podkarpaciu w okresie międzywojennym. Zanim doszło do tragicznych wydarzeń oba narody: polski i żydowski żyły obok siebie w poszanowaniu religii, kultury i tradycji. Kiedy tam przybyli, nie mamy dokładnych danych. W 2 połowie XVII wieku mieszkały w Kołaczycach dwie rodziny żydowskie. Jak podają źródła w 1880 roku było 115 Żydów, a w 1900 – 247. I tak w przybliżeniu pozostało do 1939 roku. Rok ten stał się symbolem

tragedii, niepokoju i ciągłego strachu, jaki zapanował w tej małej społeczności. Na bezchmurnym niebie pojawiły się wrogie samoloty, Niemcy wkroczyli na polskie ziemie. W ciągu pięciu lat wojny i okupacji zginęło kilka milionów Polaków, nie tylko na froncie, ale i na ulicach miast i w obozach koncentracyjnych. Śmierć czyhała wszędzie, skradała się znienacka, czyniła spustoszenie wśród młodych, starych i dzieci.

Najpierw okupanci zaatakowali miejscową inteligencję. W 1941 roku zabrali z domów kilkanaście osób, wśród nich naszych kuzynów, dra praw – Leopolda Matuszewskiego, który w latach międzywojennych pełnił funkcję wicestarosty w Ostrowi Mazowieckiej oraz Jana Jurysia. Wszystkich wywieziono do obozów koncentracyjnych, skąd wróciło tylko dwóch. Jurysia rozstrzelano w jego własnym mieszkaniu.

W następnym etapie dyskryminacji rasowej okupanci przystąpili do tworzenia getta w Jaśle, gdzie przeniesiono część starozakonnych mieszkających w Kołaczycach, część pozostawiono w getcie kołaczycyckim. Dnia 12 sierpnia 1942 roku wczesnie rano Niemcy wyrzucili żydów z domów na rynek, potem pędzili ich na błonia, idącym towarzyszył płacz i jęk, następnie załadowano ich do samochodów i wywieziono w kierunku Jasła. Nikt nie zdołał i nie mógł przyjść im z pomocą, gdyż za to groziła śmierć. Wstrząsającym momentem było zajście, które zamykało ten etap terroru na okupowanych ziemiach Jasła. Schwytano Waldową, starą kobietę i jej wnuczkę, kilkunastoletnią dziewczynkę. Żandarmi prowadzili je przez rynek, jakby dla przestrogi innych. Zapamiętałam wtedy słowa mojej Mamy: „Prowadzą ją jak Chrystusa”. Dwa strzały i grób nad Wisłoką zamknęły gehennę polskich żydów w Kołaczycach, ale nie w okupowanej Polsce.

Dziś, kiedy się jedzie z Kołaczyc do Jasła, nie można nie pomyśleć, że na Podzamczu, zaledwie kilka metrów od głównej szosy w lesie, znajduje się zbiorowa mogiła polskich obywateli pochodzenia żydowskiego, których tam pozbawiono życia. Świadcami tego straszliwego mordu byli dwaj młodzi ludzie z Kołaczyc, junacy wzięci przez hitlerowców do tak zwanego baidienstu: Władysław Merkwa i Jan Rączka, późniejszy profesor zwyczajny AGH. Ten ostatni w artykule pt. *Zagłada żydów w Jasielskiem – 1942 rok*, opublikowanym w 1999 roku, w „Roczniku Jasielskim”, tom IV, tak wspomina te dramatyczne chwile:

Z Jodłowej, gdzie rozstrzelano pierwszą grupę żydów (167 osób), zawieziono nas do lasu w Kowalowach, w pobliżu willi adwokata Warchałowskiego. Tam, niedaleko od gościńca, obok niewielkiej polany, na zboczu, kazano nam wykopać grób. W tym czasie zwożona żydów z Kołaczyc (około 300). Przywożonych gromadzono na polanie i następnie rozstrzeliwano, doprowadzając po dziesięć osób w kierunku grobu, po drodze kazano się im rozbierać, a następnie rozstrzeliwano nad grobem strzałem w tył głowy. Widziałem sporo znanych mi żydów: m.in. z rodziny Waldów, Rosnerów, Krautów, Randów, Szlamów.

Bestialstwo przedstawicieli cywilizowanego narodu doszło do szczytu. Nie darowano nawet małym dzieciom na rękach matek. Mogiłę zasypano, ułożono darń i posadzono drzewka. Ten zbiorowy cmentarz w jasielskim lesie nie był i nie jest jedyny. Naoczny świadek w swej relacji wymienia jeszcze lasy koło Krempej, Jodłowej, koło Tuchowa oraz Warzyc.

Warzyce były dla tych młodych „junaków” pierwszym strasznym doświadczeniem. Na ich oczach działały się sceny dantejskie:

Nakazano nam kopanie wytyczonego dużego grobu. Niemcy w tym czasie zwozili żydów z Jasła. Był to widok przerażający. Starzy i młodzi, chorzy i dzieci z tobołami, gdyż mówiono im, że jadą do getta w innej miejscowości. Zdarzyło się tak przy pierwszej, jak i następnych egzekucjach, że przy zasypywaniu rozstrzelanych wydobywały się spod ziemi jęki tych, którzy nie zginęli od razu.

Minęły lata. Pamięć przetrwała. Nad mogiłą szumią liście drzew, świadków zbrodni, powtarzając głosy wołające o pomstę do Nieba. A my zatrzymujemy się na miejscu zbiorowego mordu niewinnych ludzi i czytamy: „Tu spoczywają szczątki około 260 osób z Kołaczyc zamordowanych 12. VIII 1942 roku przez hitlerowskich zbirów”. Odnowiona tablica, zadbane otoczenie przemawiają za tym, że mimo upływu czasu, pamięć o ofiarach trwa. Miejsce to nie było i nie jest jedynym śladem bestialstwa okupanta. W pobliżu Krosna, w Warzycach znajduje się miejsce spoczynku największej ilości ofiar Holokaustu – zagłady, o którym pisze Szymon Jakubowski w publikacji: *Warzyce – Podkarpackie Palmiry*. Kryją one w swej ziemi 5 000 ofiar, gdy Palmiry pod Warszawą – 2 000. Leżą obok siebie Polacy, Rosjanie, żydzi i Cyganie, partyzanci, żołnierze, niewinni cywile – pogodzeni ze sobą na zawsze.

Naszą uwagę przykuwa mosiężna brama, a szczególnie symboliczny napis na niej: PRZECHODNIU! POWIEDZ OJCZYŹNIE, ŻE WIERNI JEJ PRAWOM TU SPOCZYWAJĄ będący parafrazą napisu w Termopilach. Cmentarz wojenny ofiar terroru hitlerowskiego zawiera 32 zbiorowe mogiły. W nich, między innymi, znajdują się prochy obywateli polskich narodowości żydowskiej z gett we Frysztaku, Jaśle i Korczynie. Uwagę zwraca szczególnie nowy nagrobek, bo ufundowany w 2004 roku przez Davida Singera, rabinowi z Kołaczyc o niekwestionowanym autorytecie. Był nim i pozostanie Chune Halberstam, który został zamordowany 29 września 1942 roku. Obok tekstu w języku polskim i żydowskim, dotyczącym pochodzenia rabina, główna myśl tej tablicy zamyka się w słowach: NIECH JEGO DUSZA MA UDZIAŁ W ŻYCIU WIECZNYM.

**Michalina Sękowska-Pięchowa**